

naL O T



BUM!

8.P.
09.03.14

Adam Cebula "Spojrzenie kinematograficzne na koniec świata"

Adam Cebula

Kiedy zaczynam coś pisać, cisną mi się do głowizny setki skojarzeń. Klepanie w klawiaturę to wąskie gardło przekazu informacji, nim wyklepię jedno, dziesięć wymyślę. Ba, nie tylko wymyślę, ale i zapomnę. Nieuchronne jest więc to, że zacznę od czegoś z boku tematu.

Kolega - bardzo liberalnie nastawiony - usiłował mnie przekonać do idei zlikwidowania państwowych instytucji kulturalnych. Myślenie idzie tak: prywatny przedsiębiorca nie jest w stanie konkurować z jednostką gospodarczą, która nie działa na tych samych zasadach. Która, mówiąc krótko, jest dotowana. I rzeczywiście nie ma sposobu, by obniżyć cenę wyprodukowanego towaru bardziej niż koszty produkcji, a gdy ktoś ma choćby część owych kosztów za friko, no to jest pozamiatane.

Jak to z racją bywa... racja, ale jest wręcz przeciwnie. Punktem wyjścia filipiki mojego kumpla było to, że w tiwi nie ma czego oglądać i w ogóle w odróżnieniu od „w ogóle”. Bo jak chceć coś obejrzeć, to wszędzie SF. To już moja obserwacja.

Dziś właściwie w każdym kasowym filmie jest jakiś element, jeśli nie czystego SF to przynajmniej motyw technologiczny albo motyw zaskakujących zmian, które wynikają z „takich czasów”. Czasy są wynikiem przemian. Nawet gdy jest o ciężkiej doli panienki, która wyjechała do pracy jako tancerka go-go, a tu wyszło na to, że ma być tancerką przy rurze, to w tle mamy choćby dramatyczną nierówność w posiadaniu, która jest wynikiem technologii, i której przejawem jest owa technologia. Ktoś ma kartę kredytową i nią płaci, inny jest biedny i płaci z portfela. Bogaty ma „dzi-pi-esa”, bidny musi sam główkować, jak zamienić adres na konkretną lokalizację. Owa technologia zresztą w filmach jest obecnie elementem dekoracyjnym. Dla podniesienia nastroju ludzie kontaktują się przez Internet aliści, ponieważ Internet stał się powszedniością. Nic by to nie zmieniło, gdyby bohaterowie zamiast na jakimś fejsbuku poznali się, dajmy na to, w klubie, ale ma być fejsbuk. Bo to bardziej rajcuje.

Technologia włązi w gatunki zarezerwowane wyłącznie dla serca i ducha. W kilku podejściach poznałem akcję ? diabli wiedzą czy to romans, czy dramat psychologiczny ? która polegała na tym, że bohaterka uprawia seks wirtualny z nieznanym z serwisu, echem, randkowego.

Jak wiadomo kino bywa kobiece i percepcja onego przez faceta jest praktycznie niemożliwa. Sprowadza się to do szczegółowych opisów, jak zrobić sobie krzywdę na sto sposobów, oraz jakie ewentualnie emocje temu towarzyszą. Cóż, w tym względzie muszę się przyznać do seksistowskiej niemocy ? jak dla mnie historia z gatunku „one takie są”. Ruszy na zaciągniętym ręcznym, co nie jest żadną damską specjalnością, ale jeszcze na dokładkę zrugą, gdy próbować wytłumaczyć, jak uniknąć takich atrakcji. Ciekawostka taka, że zasadą konstrukcji damskiego kina staje się Internet. W opowieści typowo buduarowej mamy sceny jak z „Odysei...” Kubricka: choć sprowadza się tylko do filmowania ekranu komputera, to trudno uciec od skojarzeń.

Technologia musi być obecna w telewizyjnym sensacyjniaku. W odróżnieniu od klasyków zwanych przez Krajewskiego kryminałem kominkowym, gdzie czytelnik występował niejako na równych prawach z detektywem, miał identyczne narzędzia do analizy świata przedstawionego i wystarczała potoczna wiedza o ludziach i przedmiotach, by rzecz całą rozwikłać. Obecnie pojawiają się już to kody genetyczne, już to najróżniejsze mikroślady, bazy danych widoczne w postaci komputerów.

Mamy bardzo często coś, co nazwać można przestępstwem technologicznym. W szczególności w mniej wyrafinowanych produkcjach to jakiś cyberatak, ale zdarzają się trochę ciekawsze pomysły. Ciekawsze?

Bolą mnie zęby, gdy okazuje się, że jak zwykle chodzi o strasznego wirusa wyhodowanego w wojskowym laboratorium, czy coś równie mi znanego. Lista technologicznych pomysłów na akcję jest dość krótka – atak biologiczny, atak chemiczny (przy czym zawsze chodzi o jakąś fiolkę z czymś tam, co jak dupnie, to tylko sito jak mawiał pułkownik M. w studium wojskowym). Czasami zapanowanie nad satelitami, wysadzenie jakiejś tamy... No, to już rzadziej, bo od czasów Jamesa Bonda, o ile nie chodzi o zapanowanie nad całym światem, to z założenia nie jest godne uwagi.

SF w kinematografii marynistycznej – jak najbardziej. Oto zdarzyło mi się trafić na coś, co zmieniło nieco mój stosunek do praw autorskich. Spadkobiercy Hermana Melville'a powinni mieć pewne prawa wobec ludzi, którzy zamienili statek wielorybiczny w atomowy okręt podwodny. Jestem humanitarny, ale w tym przypadku dopiero, gdy sobie wyobraziłem, jak scenarzystę, reżysera i kilku pomniejszych łotrzyków doprowadzono na przykład na rozdanie Oscarów i wykorzystano jako pochodnie Nerona, to mogłem zasnąć.

Cóż, rzeczą ludzką jest słabość. Czyli załamanie postawy humanistycznej, jakie przedstawił w „Trenach” nasz największy wieszcz Jan Kochanowski. Zgadzam się, moja wersja kryzysu wartości może się wydać trochę odrażająca. Jednak twierdzą, że każda żywa i czująca istota w kontakcie z owym atomowym dziełem zwątpi, czy aby ludzkość słusznie porzuciła jako metody wychowawcze choćby łamanie kołem, przerastanie bambusem czy przewencyjne wycinanie w pień.

Co do walenia po gołym tyłku mokrymi różgami z powodu totalnego nieuctwa – nie mam żadnych wyrzutów sumienia. Sednem akcji jednego z filmów było to, że się urwała jakaś bardzo zimna część atmosfery i spadała (spadła?) na ziemię. Egzosfera? Nie wiem, udało mi się przerwać transmisję przed odniesieniem poważniejszych szkód.

Cały film powstał na temat tak zwanych pustek. Tak zwane wędrujące pustki są. Istnieją jak najbardziej. To one właśnie budzą grozę. Albowiem dziura w ziemi, pustką w szczególności nazwana, niewędrująca, niczym bardziej wytwornym nie jest ponad dziurę. Wędrujące pustki są zwykle wynikiem działalności górniczej, i jak sama nazwa wskazuje, wędrują. Przemieszczają się z głębin ku powierzchni. Mechanizm jest prosty: gdy wyrobisko zapada się, to w ten sposób, że strop leci w dół. Siłą rzeczy nad wyrobiskiem powstaje kolejna dziura. Przy odrobinie szczęścia zostanie zasypana przez przemieszczające się masy gruntu, ale zależy to od jego mechaniki. Może się tak zdarzyć, że zamiast grzecznie, proporcjonalnie i ze wszystkich stron przesunąć się ku dziurze, zasklepiając ją, piach będzie się zsypywał cały czas z góry i wówczas dziura będzie sobie maszerować ku powierzchni, aż wylezie i nagle ktoś w nią wpadnie. Jak się zdaje, film o tym, że całe miasto może wpaść w dziurę, która naraz pojawia się w ziemi, ma za swój pierwopoczątek właśnie to zjawisko. Historia jest pokłosiem zapewne tego, że amerykańska geologia ma się nieźle. Aliści gdzieś tam po drodze wszystko się pokręciło. Dziury się pojawiają, bo się pojawiają. Żadne wędrujące. Wielkie jak stadion piłkarski albo jeszcze większe, zależy, jaka się zmieści w hali zdjęciowej. I tak dalej. i w ten deseń. i z taką logiką. Bo taki jest film, panie kolego, w odróżnieniu od życia.

Jeśli powstał film i był nadawany w jakiejś tiwi, to powstał w Hollywoodzie, a więc ma odniesienie do stanu rzeczy widzianego przez amerykańskiego scenarzystę. Kiedyś miałem wrażenie, że ów celuje w zjadacza popcornu w tamtejszym kinie, i stanowi to wyznacznik dopuszczalnego poziomu wiedzy w dziele, ale przekonałem się, kupując kilka książek, że stan pojmowania świata zjadacza i pisacza są z wielkim prawdopodobieństwem kompatybilne.

Taka kolejna przypowieść do opowieści (czy dygresja do refleksji), jak to z odległych z pozoru rzeczy

można wysnuć wnioski i ogólne, i szczególne, w temacie takim i wręcz przeciwnie. Książka dotycząca oświetlenia w fotografii rozjaśniła mi, że od ał(u)tor(a)u zacząwszy, poprzez różnych redaktorów („ó” , bo czasami trzeba tekst zredaktorować), do składaczy, po domniemanych recenzentów nikt nie znał pojęcia, echem, rozmiaru kąтового. Od tej chwili już bliźniętko jak przez sień (dynda, dynda stryczka cień, pamiętacie? „Odrażający drab” Przybory) do różnych przesmakowitych pomysłów jak owe w polskiej geologii wędrujące, w kinematografii ziejące, niestety, pustki i spadające kawałki stratosfery, po rozczulającą naiwność głębokiej ekologii, tym razem przypomnę jeszcze nie zwietrzały tytuł - w „Avatarze”.

Tenże ostatni jest dla mnie powodem do smutniejszych jeszcze dywagacji. Nieodłączną częścią kina współczesnego jest coś, co pozwolę sobie nazwać wizualnością. Zdawało mi się, że w krytyce plastycznej ten termin jest dość dobrze zdefiniowany, ale chyba się mylę. Chodzi mi o zdolność do przyciągania wzroku atrakcyjność plastyczną. „Avatar”, jak się mi wydaje, postawił na takie coś. Niestety, oglądałem w 2D, co ponoć godzi w wiarygodność oceny, ale jako że odczucia widzów w 3D są właściwie takie same, to pozwolę sobie sformułować: wizualna naiwność. Nie dokładnie plastyczna naiwność, ale nazwałabym to właśnie tak, dla podkreślenia, że nie chodzi mi o to, czy obraz nazwiemy estetycznym, ale o inną cechę, sposób na to, by widz nie gapił się przede wszystkim w torbę z kukurydzą. Teza jest taka, że owe pomysły na to, by siedząc w kinie, jednak gapić się w ekran, a nie w żarcie, obracają się wokół chwytów, które trudno nazwać wyszukany.

Szczerze mówiąc, na przykład świecące rośliny w dżungli przywodziły na myśl tandetne dekoracje z LED. Jedyna scena, która mi się naprawdę podobała, owe wiszące skały, pochodziła z filmu, który nakręcono w latach siedemdziesiątych. Ani szkiełko, ani oko, też bez serc i bez ducha, psia jucha!

Słowo się rzekło - zaczynam pisać, to do głowy mi natychmiast przychodzą setki pomysłów. Uważam, że to ten sam problem: dlaczego w filmach SF tak rzadko pojawia się motyw podróży w czasie? Można powiedzieć - żelazny dla literatury SF. Jego zasadą jest jakaś dywagacja na temat czasu, akcja powinna się dziać w przyszłości albo mamy czas alternatywny. Ależ oczywiście, można wymienić jednym tchem wiele tytułów, jak choćby „Powrót do przyszłości”. Tak. Jeśli zestawmy sobie to z faktem, że niemal każdy film ma dziś coś z SF, to procent jest minimalny. Śladowe ilości. Mamy różne UFO, mamy spadające planetoidy. Wreszcie, gdy spojrzymy na zidentyfikowane wątki przenoszenia się w czasie, to możemy zauważyć, że jeśli już są, to zostały skopiowane z innych utworów. To nie jest historia, którą widz powinien uważnie obejrzeć, zanalizować i zrozumieć. On powinien ją łyknąć w pośpiechu, jako znany i wyćwiczony schemat.

Dlaczego? Odpowiedzią jest chyba komplikacja, jaką niesie ze sobą każde przenoszenie się wstecz czasu: można zabić swego dziadka. To się robi niebezpieczne dla scenarzysty. Jak zacznie coś kombinować, to rychło się zapłaczę, popłaczę, wyjdzie, że nie rozumie i nie ma żadnego pomysłu, na końcu wyrznie jak łysy warkoczami o beton.

Zasadą kompozycyjną fantastyki jest moim zdaniem zabawa z fantazją. Niekoniecznie chodzi o wróżenie przyszłości, fantastyka na dobrą sprawę dawno przestała się tym zajmować. Fantastyka to zabawka inżynierów, gra z zasadami, w której wolno znacznie więcej niż zezwala dzisiejsza rzeczywistość, ale z zachowaniem reguł. Ćwiczenia wyobraźni, można powiedzieć jeszcze bardziej górnolotnie, tworzenie laboratorium, gdzie testujemy różne warianty rzeczywistości.

Dobra SF to wymyślenie jakiegoś nowego eksperymentu, wprowadzenie do tego, co już znamy, nowych elementów, i sprawdzanie, co z tego wyniknie.

Jeśli tak potraktujemy dowolny inny pomysł na historię, jeśli podejmiemy do kina SF w ten sposób: „Powiedzmy sobie, jaki to jest wiodący motyw i sprawdźmy, czy w jego kolejnych realizacjach kolejni autorzy chcieli powiedzieć coś nowego” ? mimo że, jak powiedziałem wcześniej, na dobrą sprawę

nawet w dramacie psychologicznym mamy dziś elementy SF ? pozostaną jakieś smętne resztki dorobku.

Dlaczego „2001: Odyseja kosmiczna” jest filmem, który ciągle jest wyświetlany, do którego ciągle się odnosimy? Myślę, że jedną z przyczyn jest to, że ile razy trafię na niego podczas pstrykania po kanałach, coś mnie zatrzymuje. Każda scena jest warta, by ją ponownie pooglądać. Oto - zamiast wariackiego tempa pościgów po ulicach i strzelanek - mamy cumowanie statków w rytm walca Straussa. (Swoją drogą, nie mogę zapomnieć Amerykanom, że nakręcili biografię Johana Straussa bez jego muzyki...) A więc mamy tu do przemyślnie skonstruowanego widowiska choćby i porządną muzykę. Całość się wspiera i muzyka popularna XIX wieku wraz z obrazem z XX wieku tworzy coś, co daje kopa wyobraźni w wieku XXI. Ależ tak, jednym z ważniejszych elementów doznania jest świadomość, że ta scena tak właśnie powinna wyglądać. Nie została skonstruowana dowolnie, ale zgodnie z bardzo rygorystycznymi zasadami. Tak samo jak panienka (stewardessa?) krocząca pod coraz to bardziej nieprawdopodobnym kątem, wreszcie do góry nogami.

Nie wiem, czy mój kumpel, który zauważył totalny brak rzeczy godnych uwagi w tiwi, myślał o takim filmie. Faktycznie, to było kino komercyjne. Ale... w niekomercyjnym sosie. Powstawało w czasach, gdy ludzkość fundowała sobie wyścig w kosmos. Ależ oczywiście - za pieniądze podatnika. Dziś już mało kto pamięta, jaką histerią był otoczony wyścig technologiczny, i że został niemal formalnie proklamowany podczas spotkania Chruszczowa z Kennedym.

Dlaczego my tak nie maszerujemy? - pytał Flip Flapa, gdy wylądowali w kompanii dla oferm i spotkali się z kompanią najlepszą. Dlaczego nie ma takich filmów? Dlaczego, choć wokół sama SF, to prawdziwych filmów SF ani na lekarstwo?

No cóż, ciągle powtarzam: bo żeśmy się wycofali z eksploracji kosmosu, bo ludzie nie tylko nie mają ochoty sami sobie zadawać przykrości poznawania nowych rzeczy, ale zaczynają przystawać na to, że ich dzieci nie będą się uczyły. W USA ? nie wiem na ile ta wiadomość jest prawdziwa ? w jednym ze stanów zezwolono, by dzieci nie uczyły się ręcznego pisania, przecież dziś wszystko wyklikają na klawiaturze.

Aby fantastyka trafiała do ludzi, muszą oni mieć wyćwiczoną wyobraźnię, ale nie byle jaką, tylko taką, co potrafi sprostać regułom. Fantastyka jest dla sprawnych, ciekawych, dla erudytyw...

Teza, do której zmierzam, nie jest bynajmniej z tych, że „dawniej, panie, to było kino”. Chodzi mi o coś znacznie szerszego. Jak powiedziałem, SF wkroczyła wszędzie, znajdziemy ją nawet w damskim kinie. SF wlała w nasze życie. Spotyka się dwójka, trójka ludzi, i co? Pokazują sobie nawzajem komórki. A nawet nie same komórczaki, ale aplikacje na nich zainstalowane. Są im, gwarantuję, całkowicie niepotrzebne. Tak niepotrzebne, jak GPS do poruszania się po mieście, w którym żyję od ponad 30 lat. Są celem samym w sobie i dla siebie. Zajmujemy się światem wygenerowanych pseudowartości, o których przecież mówimy: gadzety. Zaczynają się w nim liczyć rzeczy całkiem abstrakcyjne, jak opinie ludzi, których nigdy nie zobaczymy na oczy, jak liczba znajomych, którzy wcale nie są znajomymi, lecz dokonali pewnej informatycznej procedury.

Do podobnej kategorii zaliczyłbym walkę z globalnym ociepleniem: oto mamy zjawisko widoczne jedynie na komputerowych prezentacjach, które pojawia się tylko w symulacjach. A właściwie trudno znaleźć człowieka, który odważy się powiedzieć, że istnieje ono jedynie w świecie wirtualnym.

Kino jest ucztą i sferą przeznaczoną dla wyobraźni. Kiedyś mówiono nam, że ogranicza nas jedynie wyobraźnia. Ale też, gdy kierowca wyleciał z drogi, jako przyczynę standardowo podaje się brak wyobraźni. Jej brak jest śmiertelnie niebezpieczny.

Do natłoku skojarzeń dodam jeszcze taką refleksję: przecież kultura materialna, zbitka słów powszechnie używana i akceptowana, to oksymoron. Czy jeszcze ktoś zwraca na to uwagę? W tym przypadku oksymoron w sensie świadomego zabiegu, środka wyrazu. Kultura jest czymś siedzącym w głowie. Nie może być materialna. W istocie chodzi na przykład nie o wagę, ale o jej formę. O ile waza jako przedmiot codziennego użytku jest po prostu naczyniem, przedmiotem, i na dobrą sprawę może być miską emaliowaną prostą, by skutecznie pełnić swoją rolę, to zainteresowanie formą owego przedmiotu wynika... No z czego? Z tego, że mówi bardzo wiele, co siedziało w głowie tego, dla którego ją wytwarzano, i w głowie tego, kto ją wytwarzał.

Dlaczego wsadziłem w to wszystko jeszcze kulturę materialną? Bo, gdy mówimy „kultura materialna danej cywilizacji”, myślimy tak naprawdę o jej poziomie rozwoju. Owszem, można przypisać takiej czy innej grupie ludzi wyjątkowy wykwint polegający na stworzeniu systemu obyczajów czy sposobów komunikacji, ale kultura materialna wysoka lub niska każe nam przypisywać ją już całkiem jednoznacznie. Niekoniecznie w sportowej nomenklaturze wyżej czy niżej, ale widząc przedmioty, jakimi otaczają się jej członkowie, możemy sobie odpowiedzieć, jak żyją, a nawet -czego pragną.

Kultura materialna to też chyba coś innego niż posiadanie jakichś technologii. Owszem, w zasadzie posiadamy technologię pozwalającą dolecieć na Księżyc, ale... No właśnie. Dawno, dawno odbył się ostatni lot.

Jak dla mnie będzie zupełnie jałowym sporem, czy aby taśma filmowa lub karta pamięci z zapisanym filmem są, ehem, artefaktami kultury materialnej. Słowo „artefakt” w tym miejscu jest trochę wygibasem językowym, lepiej by napisać „przejawem kultury materialnej”, ale współcześnie kochamy się w takich zagranicznych, niejasnych wyrazach. Nieważne. Tak mniej więcej – czy ebook ma jakiś związek z kulturą materialną, czy też nie? No może i ma, bo „Gra w klasy” napisana w html-u może „faktycznie” (funkcjonalnie) przyjąć wymarzony przez autora dowolny porządek. Być może jest to przykład, gdy technologia może zamienić się w środek wyrazu. Rzecz jednak w potrzebie i w pomysle, oraz w tym, że ktoś nauczył się to zastosować. To pomysł Julio Cortáзара czyni rzecz istniejącą.

Zacząłem od tego, że mimo bardzo skutecznej technologii (wysokiej kultury materialnej???) tworzenia – na przykład filmów, jak zauważył mój liberalny kolega – wokoło sama SF, a (i?) oglądać nie ma czego. Liberalna wyobraźnia podsunęła mu dość proste rozwiązanie w postaci de facto znacznego pogorszenia warunków dla twórcy: ograniczenia możliwości zrealizowania swego pomysłu poprzez zlikwidowanie państwowego mecenatu. Bo wówczas nie będą mieli tak źle tak zwani producenci.

Myślę, że to właściwe miejsce, by zadać pytanie, dlaczego ów liberał przyjął bez oporu idiotyczny pomysł, że jak będzie gorzej, to będzie lepiej. Chyba tak sobie wyobrażał świat. Posiadał taki obraz zależności i procesów, jakie się w nim dzieją.

Konkluzja będzie pewnie dość typowa dla publicystyki, coś w stylu „czasy nam psieją”. Tak sobie myślę, że kiepska kinematografia jest obrazem tego, co siedzi w głowach konsumentów: skiepsciła się przeciętna wyobraźnia. Mniejsza o to, że skiepscił się gust, ostatecznie podświetlane ledami kwiatuszki w „Avatarze” można znieść. Niestety przy okazji skiepsciło się przeciętne myślenie o tym, co od czego zależy, jak to będzie się działo. Skiepsciła się wyobraźnia fantastyczno-naukowa. Poza kinematograficznym i poza bibliotekarskim efektem jest to, że na przykład nie bardzo wiemy, czego oczekiwać od producentów, co robić z gadżetami, które nam dają. Projektanci tak naprawdę kręcą się wokół własnych ogonów. Przerzucają przyciski z prawa na lewo, udają, że tworzą nowe funkcje w programach w ten sposób, że grupują wiele operacji w jedną, a potem znów je rozbijają na osobne. Klientom (czy odbiorcom) wszystko jedno, bo i tak korzystają z mniej niż procenta stworzonych bajerów. Bo nie potrafią sobie wyobrazić, do czego to. Owszem zdarzają się produkty które coś tam

poprawiają, okazują się funkcjonalne, ale giną w masie pozornych usprawnień.

Ano...spójrzmy na te komórczaki, to pokłosie wyobraźni w, echem, artefaktach kultury materialnej. Coś w tym stylu, prawda?

Dlaczego jak gęś kluski łykamy teksty o spadającej nam na głowę atmosferze, dlaczego ludzi nie trafi szlag, gdy tematem filmu okaże się atomowy okręt podwodny ścigający wieloryba o rozmiarach na oko sporego tankowca?

Coś się stało z wyobraźnią odpowiedzialną za odbiór utworów z gatunku SF, ale także z jej elementami, które służą do wyobrażania sobie otaczającego świata. Z erudycją, umiejętnością tworzenia modeli, analizowania ich działania. Wyobraźnia fantastyczno-naukowa kiedyś była takim bonusem dla inżynierów. Ze zdolności do szeroko pojętego kombinowania potrafili robić sobie zabawkę. Jednemu mocna głowa pozwala grać w szachy, innemu cieszyć się wymyślonymi światami. Napędem owej maszynki była wiedza zdobyta w szkole, wyćwiczone umiejętności, które pozwalały rozumieć rachunki albo rysunki techniczne, rozum, który nie gubił się w wywodach zawierających bardzo wiele kroków ze sobą powiązanych.

Kumpel chciał zlikwidowania dotacji, by te filmy były lepsze, ja powiem, że jak zwykle proste rozwiązania są pozorne. Trzeba zacząć od przywrócenia faktycznego nauczania fizyki w szkołach podstawowych i średnich, na przykład. Nie tylko w końcu podniesie się nam poziom kinematografii, myślę, że zyskamy coś jeszcze. Strach pomyśleć, co możemy stracić, gdy zaniechamy ratowania kina SF...